



PAUL HEYSE

Samotni


wolnelektury.pl



FUNDACJA
nowoczesna
Polska

PAUL HEYSE

Samotni

TŁUM. FRANCISZEK MIRANDOLA

Gwałtowne burze, nadciągające ze strony południowej, miały przez dni kilka morzem, budząc do żywszego krążenia soki drzew figowych, porastających skaliste brzegi Sorrento¹, oraz skrapiając ziemię deszczem i żyźniąc ją wilgocią. Ten i ów powiadał o pomrukach, idących z głębi Wezuwiusza², i prorokował rychły wybuch. Czasem drżały w posadach domy, a nocą słychać było donośne uderzanie o siebie sprzętów i brzęk naczyń blisko stojących przy sobie w szafach. Gdy jednak ostatniego dnia kwiet-

¹*Sorrento* — miejscowość i gmina we Włoszech, w regionie Kampania, w prowincji Neapol. [przypis edytorski]

²*Wezuwiusz* — wulkan na terenie Włoch, na Półwyspie Apenińskim, nad Zatoką Neapolitańską. [przypis edytorski]

nia słońce pokonało na koniec niepogodę, okazało się, że miasteczka doliny sorrentyńskiej, otoczone winnicami i pomarańczowymi sadami, nie poniosły żadnego szwanku³, że nie rozwarły się skały, by je pochłoniąć, a wysoki brzeg skalny nie dopuścił piętrzących się fal morza, usiłujących porwać ze sobą w głąb wszystko, czego od setek lat dokonała tu praca człowieka.

Po południu tego właśnie dnia, w niedzielę, wydostał się z jednego z domostw, zatrzymany w nim wbrew własnej woli przez burzę, pewien poeta niemiecki, którego nazwisko jest tu sprawą obojętną. Po całych dniach wyglądał oknem na morze, otulając płaszczem kolana przed chłodem płynącym od kamiennej posadzki. Siedział w kapeluszu i spijał szklankę wina po szklance, nie mogąc się rozgrzać. W Neapolu⁴ zostawił mały zapas książek, wzięty w drogę, a w domu gospodarza nie było dru-

³*szwank* (daw.) — krzywda, ujma, szkoda. [przypis edytorski]

⁴*Neapol* — miasto w pld. Włoszech, w centrum Zatoki Neapolitańskiej; stolica regionu Kampania i prowincji Neapol. [przypis edytorski]

kowanej kartki poza kalendarzem i mszałem⁵. Nieraz twierdził, że w samotności nigdy nie doznaje nudy, teraz jednak Muzy⁶ głuche się stały na jego tęskne wołanie o przybycie do towarzystwa, wiatr pochłonął jego głos, a zimno przygłuszyło wszelkie myśli oprócz pożądania, by się na koniec zjawilo słońce.

Przenikło wreszcie przez oponę chmur, a wiezien spędził połowę tego błogosławionego dnia na sumiennym wygrzewaniu się w jego promieniach, siedząc na otwartej werandzie. Po obiedzie wkroczył na stromą ścieżkę skalną, a wszystkie zmrożone dotąd uczucia odzyskały moc poprzednią. Nigdy dotąd nie widział, by wiosenne słońce było tak wielkie, złociste i zwycięskie, nigdy też nie przenikał go tak do samej głębi rzeźwy powiew morza. W ciągu jednej nocy liście figowca wyrosły na długość palca. Przez pół dnia słońce okryło krzewy tam opodal białym kwieciem. Znęcony zapachem, węc-

⁵*mszał* (rel.) — księga liturgii katolickiej, zawierająca teksty mszy i przepisy jej odprawiania. [przypis edytorski]

⁶*muzy* (mit. gr.) — w mitologii greckiej boginie sztuki i nauki. [przypis edytorski]

drowiec pochylał się ku ziemi, a wszędzie znajdował ciemne zagony fiołków. W powietrzu uwijały się roje motyli nie starszych od tego dnia, a wszystkie ścieżki wokół pełne były ludzi, idących pieszo lub przejeżdżających małymi wózekkami. Urok podnosiły dzwony kościołów i kaplic, odległych o cztery godziny drogi, pokrzyki chłopców, dążących na kiermasz w Sant Agata⁷, wsi usadowionej na grzbiecie góry, oraz przewlekłe *ritornelli*⁸ kobiet, które, ująwszy się za ręce, szły na nieszpory⁹ lub siedziały na oblanych słońcem dachach i patrzyły w morze.

Szedł pod górę drogą dość wygodną, wznoszącą się łagodnie, coraz to smutniejszy w miarę oddalania się od świątecznego rozgwaru, nie mogąc ujawnić w żaden sposób swej wdzięczności za pełnię otaczających go cudów. Rad by był przystanąć tam oto na urwisku i zanucić te-

⁷*Sant Agata* — prawdopodobnie chodzi o wieś Sant'Agata sui Due Golfi w okolicy Sorrento, obecnie wchodzącą w skład gminy Massa Lubrense. [przypis edytorski]

⁸*ritornello* (wł.) — refren, śpiew. [przypis redakcyjny]

⁹*nieszpory* (rel.) — śpiewane nabożeństwo wieczorne. [przypis edytorski]

mu krajobrazowi jakąś pieśń bez słów, będącą echem wszystkich odgłosów wiosennych wokół. Miał jednak powód nie ufać, że głos jego będzie godnym heroldem uczuć, i z zazdrością pomyślał o pewnym tenorze, którym się nie-raz zachwycił w Rzymie. O, gdybyż dał ową napęlić takim śpiewem! Krocząc poprzez tę rozśpiewaną, tętniącą rozkoszą przyrodę, uczył się biedny, milczący jak złodziej, bezdźwięczny niby kij we własnej dłoni niesiony.

— I czemuż to wszyscy sławią poezję jako najwyższą sztukę? — zawołał ze złością. — Czyż może ona wyzwolić duszę od niezmiernego brzemienia takich wrażeń? Gdyby wezwano największych, jacy żyli, władców melodyjnego słowa, zamilkliby wobec tego bezmiaru podobnie jak ja, biedny epigon. Czymże wyrażą, choćby w przybliżeniu, owo światło, ów eter, morze i woń, płynącą z tych gajów pomarańczowych? Najniklejszy nawet spośród artystów, a więc tancerz, prześcignąłby ich tu niezawodnie. Ową dążność wszystkiego ku niebu może wypowiedzieć przynajmniej gestem i ru-

chem, całą swą osobą, od czubka głowy do koniuszków palców, dając wyraz upojeniu. A malarz! Jakże może uszczęśliwić najbardziej naiwnego malarza oddanie tego krajobrazu, jeśli tylko umie utrwalić na papierze linię tej góry i klasztoru na jej zboczu, las poza nią, granice morza i złamane wiatrem drzewo na pierwszym planie. Jeśli zaś jest mistrzem i potrafi uchwycić ową jaśń, rozedrganą na żółtej ścianie skalnej, barwę głębiny morskiej jeszcze spienionej, miotanej falami, które wyglądają jak strzępy srebrnolitej materii, mgłę ponad Wewzuiuszem i białe wieżyce pośród zieleni drzew kasztanowych... ach, gotów bym go zamordować z zazdrości!

Dziwnie wzburzony, siadł na kamieniu przydrożnym i spojrzął wokół ponuro. Zasłużył poniekąd na to, by stracić pogodę ducha przez uświadomienie sobie własnego niedołęstwa. Wyszedł zuchwały i pewny, że spotka długo niewidzianą Muzę. Wziął ze sobą zeszyt i z napięciem wielkim czekał na motyw liryczny, mogący się wyłonić spoza pierwszej skały, lasu czy

parkanu ogrodu. Ożywiało go nierozumne, pełne pychy pragnienie dania jakiegoś dowodu swego mizernego istnienia w momencie, gdy wszystko wokół bujnie się rozrastało. Wszyscyśmy zapewne przekonali się, że wielkie dzieło odnawiania się przyrody wprawia nas w stan bezcelowego niepokoju, w którym zamierzamy rzeczy niesłychane, a nie jesteśmy zdolni do niczego i jakby obumarli, podczas kiedy wokół wszystko rozkwita. Owa gorączka wiosenna rzadko przemienia się, niestety, w czyn, najczęściej zaś sprowadza tylko wyczerpanie i rezygnację.

Poeta zrezygnował niebawem, nie pozbywszy się jednak wrogiego usposobienia względem innych śmiertelnych, lepiej, zdaniem jego, uposażonych.

— Oto wyłazą — mruczał — ze swych nor i zapaskudzają cały kraj swymi sztalugami i parasolami, siadając do zastawionego obficie stołu przyrody. Starczy im sięgnąć, a mają pełne ręce. Po nasyceniu zmysłów zabierają niby kiełich, z którego pili, dane sobie w podarku szkice i obrazy, budzące wspomnienia i nastroje, ile

razy tego zapragną. Mają słuszość, że podró-
żują na Południe, czeka ich tu bowiem obfita
uczta. Ale my, ale ja?

Czyż mnie tu zwabiły złośliwe bóstwa ce-
lem tym większego upokorzenia? Czyż nie dość,
że spaliłem w Rzymie¹⁰ wszystkie moje wiersze
ku czci fraskatanki¹¹, zobaczywszy jej portret
na wystawie? Czymże byłby Petrarca¹² wobec
płótna, na którym taki Tycjan¹³ utrwaliłby ry-
sy *donny*¹⁴ Laury¹⁵? Poetyzować można było,
zanim się ludzie nauczyli malować. Bo czym-
że jest poezja, jak nie ustawicznym powtarza-
niem, że słowa to nędzarze, niegodni tknąć rąb-
ka szat matki-natury? Na Północy, gdzie nie

¹⁰Rzym — stolica i największe miasto Włoch, położone w środkowej części kraju nad rzeką Tyber i Morzem Śródziemnym. [przypis edytorski]

¹¹*fraskatanka* — prawdopodobnie chodzi o pochodzący z XIX w. portret autorstwa Luigiego Rubia (1797/1808?–1882), zatytułowany *Theodora la Frascatana*. [przypis edytorski]

¹²*Petrarca, Francesco* (1304–1374) — jeden z pierwszych poetów pochodzących z Italii, piszący zarówno po włosku, jak i po łacinie. [przypis edytorski]

¹³Tycjan, właśc. *Tiziano Vecelli* lub *Vecellio* (1488/1490?–1576) — włoski malarz renesansowy. [przypis edytorski]

¹⁴*donna* (wł.) — pani, kobieta. [przypis edytorski]

¹⁵*Laura* — ukochana Petrarki, której poświęcony jest tom *Canzoniere* (*Sonety do Laury*). [przypis edytorski]

ma barw ni kształtów, poezja może uchodzić jeszcze za królową, tutaj atoli¹⁶ jest nędzarką!

Snując ten bluźnierczy monolog, patrzył na pociemniałe od kwadransa morze, po którym lyskały jasne, promienne smugi. Nie przyszło mu na myśl, że najtęższy malarz musiałby na ten widok odrzucić z rozpaczą pędzel, przeważna bowiem część niezrównanego uroku mieściła się właśnie w ciągłej zmianie i grze tonów, w żywym, nieustannym ruchu barwnych elementów. Czyż mamy zwalczać i inne, przesadne zarzuty, jakimi zaślepiony obrzucał swoją Muzę? Zbyteczne, wiemy bowiem, że mamy do czynienia z jednym ze szczepu wrażliwców, którym po to tylko, zda się, dane zostało słowo, by sobie samym nieustannie przeczyli. Być może doczekamy jeszcze, że wieczorem owego dnia skruchy i desperacji, w którym rad by się był znaleźć o tysiąc mil stąd, uroczyście odwoła wszystko i nie zamieniłby się za nic z samym św. Łukaszem¹⁷.

¹⁶*atoli* (daw.) — spójnik wyrażający przeciwieństwo. [przypis edytorski]

¹⁷św. Łukasz a. Łukasz Ewangelista (rel.) — towarzysz i współpracownik Pawła Apostoła, autor trzeciej *Ewangelii*. [przypis edytorski]

To jednak, co się okazało po lewej stronie na załamie drogi, nie mogło co prawda stłumić jego rozpacz, przeciwnie, rozplomienić ją musiało dopiero na dobre.

— Ach — zawołał z pasją — gdybyż choć zarys, choć kilkadziesiąt linii. Jakże uroczo wygląda na swym osiołku! Jedną nogę przełożyła w poprzek przez grzbiet zwierzęcia ruchem pewnym i zdecydowanym, druga zaś, spuszczone, dotyka niemal ziemi końcami palców. Łokieć prawej ręki oparła na kolanie, dłoń u podbródka igra z łańcuszkiem, opasującym szyję, a twarz zwrócona ku morzu. Cóż za masa czarnych włosów na karku! Coś błyska wśród nich czerwono, czyż to koralowa ozdoba? Nie, to świeży kwiat granatu. Wiatr szarpie luźnie związanej chustkę na szyi, ciemną karnacją błyszczą policzki, ciemniej jeszcze jarzą się oczy! O, czemuż nie mogę zbliżyć się i poprosić, by stała tak z pół godziny. Uzyskałbym bodaj słaby odblask jej uroczej postaci, a byłby to na zawsze skarb godny zazdrości. Wróciwszy do ludzi z próżnymi rękami, muszę im dopiero opi-

sywać, jak piękne było wszystko, a oni spytają niezawodnie: „Któż to malował?” — Nie! Nie sposób pochwycić wdzięku tego spokoju, uroku tego ruchu, pełni tej młodzieńczej śmiałości, tych przepięknych rysów. Postać jej faluje wraz z krokiem wierzchowca, a maleńka nóżka chwieje się rytmicznie... Chodźcież tu, wszyscy władcy pędzla, i zaczarujcie mi to.

Wstał i czekał na nadjeżdżającą, która, nie troszcząc się o nieznanego wędrowca, trwała dalej w tej samej pozycji, czasem tylko ruchem cugli popędzając wierzchowca. Minęła go, ale przesunęła się samym skrajem drogi, tak że w odpowiedzi na pozdrowienie, jakie jej rzucił, dostało mu się skinienie głowy, którą widział z tyłu. Zwoje włosów uniosły się na moment, ukazując przepyszny kark.

Przedziwny spokój owiewał całą jej postać. Jadąc dalej, najmniejszym gestem czy miną nie dała poznać, że spotkanie wywarło na niej jakieś wrażenie czy pobudziło ciekawość, co jest rzeczą zupełnie naturalną, gdy na odludnej drodze górskiej młody człowiek spotyka się z pięk-

ną kobietą. Czy była dziewczyną czy mężatką, nie mógł odgadnąć ani z ubioru, ani zachowania. Minęła jej pierwsza młodość, ale chociaż nie miała w spokojnych rysach dziewczęcego zaciekawienia, wyrazu kokieterii ani także nic odstręczającego, to jednak świeżość i czystość oblicza była taka, jakiej nie spotyka się często u zamężnych kobiet w tych okolicach. Odziana była na poły po miejsku, miała tylko jedwabną spódniczkę, krótszą nieco, i głęboko wycięty stanik. Zakasała rękawy, sięgające do połowy ramienia, na głowę wdziała chustkę, chroniącą od słońca, a duży kapelusz zwisał u siodła.

Już miała zniknąć na zakręcie drogi, gdy wędrowiec, powziąwszy postanowienie, ruszył za nią spiesznie. Doścignął ją niebawem, ale osioł kroczył dalej brzegiem uparcie, tak że pomiędzy kapeluszem jadącej a stromą ścianą skalną zostawało bardzo mało miejsca. Dziewczyna nie zwróciła ku idącemu głowy mimo rozmowy, jaką z nią teraz wszczął. Głos miała głęboki, mówiła złym dialektem neapolitańskim. Odpowiadała krótko, ale bez chęci pozbycia się

pytającego ani też zatrzymania go przy sobie przekornymi słowami.

— Jedziesz pewnie z Sorrento, piękna samotniczko? — spytał.

— Nie. Z Mety¹⁸.

— Byłaś z pewnością w odwiedzinach u znajomych, panienko?

— Wracam z kościoła, panie.

— Pewnie na kiermasz w Sant Agata?

— Nie.

— Wszakże droga tam wiedzie?

— Nie, panie.

— Bądźże tedy łaskawa wskazać mi właściwą drogę.

— Musi pan zawrócić — odparła, nie odwracając się i teraz ku niemu — i zboczyć w lewo pierwszą napotkaną ścieżką, a potem iść gościńcem.

— Nie myślę wracać i wolę nie być na kiermaszu. Raczej będę szedł kawałek przy tobie, panienko, jeśli pozwolisz.

¹⁸*Meta* — gmina na Półwyspie Sorrentyńskim. [przypis edytorski]

— Jak pan chce, droga nie dla mnie samej została zbudowana.

— Bardzo bym był rad, gdybyś raczyła ku mnie zwrócić buzię, panienko!

Uczyniła to spokojnie, a rysy jej nie poruszyły się wcale.

— O cóż idzie? — spytała. — Co mi pan chcesz pokazać?

— Przeciwnie, to ty, panienko, masz mi coś do pokazania.

— Ja?

— Jesteś piękna. Pokaż mi swoje oczy.

— Morze piękniejsze ode mnie i patrz pan lepiej na nie niż w moje oczy, które panu nic nie mogą powiedzieć.

— Morze? Widzę je ciągle z werandy mego mieszkania.

— Ja nie. Toteż korzystam ze sposobności... — to rzekłszy, odwróciła głowę.

— Przecież wszędzie z gór widać morze — zauważył.

— Młyn mojego brata stoi w głębokim wąwozie, skały sterczą ze wszystkich stron, a krzewy zasłaniają do reszty widok.

— Mieszkasz u brata, piękna panienko?

— Tak, panie.

— Niedługo to pewnie potrwa, chyba chłopcy w Mecie nie mieliby oczu.

— Niech sobie i mają, cóż mnie obchodzą ich spojrzenia. Szczęśliwsza się czuję u brata niż wszystkie kobiety na całej równi sorrentyńskiej, aż po sam Neapol.

— Nie zaznałaś nigdy przykrości ze strony bratowej?

— Nie ma żony i nie będzie miał nigdy. Żyjemy sobie oboje i prócz opieki Madonny niczego nam więcej nie trzeba.

— Czyś pewna, panienko, że tak będzie zawsze i że mu nie wpadnie w oko żadna dziewczyna?

— Tak pewna jestem, jak tego, że żyję! Ale czemuż to pana tak interesuje?

Uderzyła osłą dłonią po karku, aż wstrząsnął uszami.

— Czemu brat nie udał się z tobą razem do Mety? — spytał Niemiec, chociaż go brat dziewczyny zgoła nie obchodził.

— Nie opuszcza młyna, chyba gdy idzie spowiadać się w góry, do Deserto¹⁹.

— Czy chory?

— Nie chce poza mną znać nikogo. Nawet widok morza sprawia mu przykrość, od kiedy... Ale cóż to, czy pan jesteś *prete*²⁰ czy agentem policji neapolitańskiej?

Roześmiał się szczerze.

— Ni to, ni to! — odparł. — Sama jednak, panienko, zmuszasz mnie do pytań! Gdybyś ku mnie zwróciła buzię, zapomniałbym zaraz o gadaniu. Tak jednak muszę się pocieszać słuchaniem twego głosu.

Zmierzyła go poważnym spojrzeniem i spytała:

— Czemuż się pan tego ciągle domaga? Czyś pan malarz?

¹⁹*Deserto* — wzgórze w okolicy Sant'Agata w pobliżu Sorrento, na którego szczycie znajduje się klasztor. [przypis edytorski]

²⁰*prete* (wł.) — ksiądz. [przypis redakcyjny]

Umilkł na moment, uczuwszy dawną zawieść do malarzy, którym jedynie przysługuje prawo podziwiania piękna. Trudno jednak mieć im za złe to, co związane jest z zawodem. Szczęśliwcy podróżują sobie swobodnie po całym świecie, a sztuka daje im prawo zagłębiać się w oblicze i tej nawet cudnej dziewczyny. Jakże miał jednak rzecz wyjaśnić, skoro pewnie nie wie nic o szlachetnym bractwie poetów.

„Użyję sobie raz i ja!” — pomyślał i odrzekł zuchwale: — Tak. Jestem malarzem i jeśli pozwolisz, panienko... Ale jakże panience na imię?

— Teresa!

— Jeśli pozwolisz, piękna Tereso, udamy się oboje razem do młyna i tam naszkicuję twój portret.

Prośbę tę wyraził lekkomyślnie i bez wahania, zapragnąwszy ujrzeć brata i zobaczyć osiedle samotnego rodzeństwa. Pomyślał, że w decydującym momencie znajdzie się na pewno jakiś wybieg. Wszakże kłamał jeno²¹ z koniecz-

²¹jeno (daw.) — tylko, jedynie. [przypis edytorski]

ności. Czyż nie był do tego naprawdę zmuszony koniecznością patrzenia dalej w oczy Teresy?

Namyślała się chwilę, potem zaś rzekła:

— Jeśliś pan malarz, to proszę zrobić mój portret dla brata. Gdy umrę, będzie mnie miał przed oczyma jak za życia. Patrz pan, ten szeroki potok, wypływający z czeluści i rzucający się w poprzek drogi do przepaści, pędzi nasz młyn. Musimy skręcić w prawo wzdłuż jego brzegu. Wezbrał bardzo po deszczu i nie sposób dojść wąską ścieżką w samym wąwozie. Zaczekaj pan, wsadzę pana na osła i przeprowadzę.

— Przeprowadzisz go pieszo? Za nic, piękna Tereso!

— Innej rady nie ma i musisz pan zostać. Choćbyś pan chciał iść bosy jak ja, nie znasz koryta i upadałbyś za każdym krokiem.

Wstrzymała wierzchowca i zsunęła się zeń zgrabnie. On stał niepewny i zakłopotany tym, że ją oszukuje, ona zaś zdjęła trzewiki i pończochy z pięknych nówek i, patrząc nań, spokojnie ujęła cugle²² osła.

²²*cugle* — pasy, służące do kierowania zwierzęciem. [przypis edytorski]

— Zgoda! — zawołał ze śmiechem. — Śmiesznie i niezbyt po rycersku będę wyglądał, co prawda, pozwalając się trudzić panience!

Wsiadł i zbliżyli się do wody, Teresa szła przodem, wiodąc osła, którego trzęzlę²³ okręciła sobie wokoło ramienia. Zanim wkroczyła w nurt, rzuciła jeszcze długie spojrzenie na morze, potem zaś, skręcając w prawo, ruszyła śmiało, nic sobie nie robiąc z prądu, toczącego wielkie głazy i wypełniającego cały wąwóz. Po pełnej jasności i ciepłe dnia ogarnął ich tu nagle mrok i chłód, a krzewy zwieszały się po obu stronach, dotykając ich niemal. Niemiec jechał na osle, stąpającym ostrożnie z kamienia na kamień, woda pryskała mu wyżej kolan, a on spozierał w górę, gdzie na wysokości jakichś stu kroków widniał wmurowany w skałę w dość niebezpiecznym położeniu młyn, równie szary jak otaczające go ściany kamienne. Z powodu niedzieli koło nie obracało się i nie dolatywał żaden odgłos prócz szumu potoku i krzyku jastrzębia, który polatywał nad wo-

²³trzęzla (daw.) — uzda. [przypis edytorski]

dą, chłodząc sobie pierś unoszącym się z niej oparem. Teresa kroczyła teraz po drugim brzegu tuż przy skale, a ścieżka czasem ukazywała się pod jej stopami, to znów znikwała pod wodą. Milczała. Trudno by się było zresztą porozumieć w tym huk, wzmożonym jeszcze rezonansiem odbitych ech. Dopiero w pobliżu domu rozstąpiły się nieco ściany skalne, ścieżka podniosła się nad wodę, a jeździec, ujrawszy suchy grunt pod stopami osła, zeskokczył, zadowolony w skrytości serca, że przynajmniej nikt trzeci nie widział całej tej dziwacznej przeprawy.

Młyn był jak wymarły. Stojąc przy nim, przybysz mógł go wziąć za dekorację teatralną. Zamknięte okiennice, brunatne drzwi bez klamki, jak by ich nigdy nie otwierano, i cień pod okapem dachu, wszystko to mogło być równie dobrze wymalowane. Dziewczyna otworzyła tymczasem bramę wykutej w skale stajni i wpuściła szarego przyjaciela do wnętrza. Potem pchnęła lekko drzwi domu i, poprzedzając cudzoziemca, przekroczyła próg.

Jednym spojrzeniem objął wnętrze. Pośrodku była obszerna izba, zajmująca całą szerokość domu, z ogniskiem pod ścianą, prostym stołem, stołkami i szafą ścienną, zawierającą naczynia. Po prawej widniała zwrócona ku skale komora z łóżkiem, po lewej zaś właściwa młynarka z mnóstwem worów, kamieni, kół i dźwigni. Otwarte były również drzwi w tylnej ścianie, a przybysz ujrzał dość obszerną łąkę, na której leżała jedna tylko smuga promieni słonecznych. Łąka obejmowała kilka morgów²⁴, wzniesiona znacznie ponad łożysko potoku, nadałaby się pod uprawę, gdyby nie wysokie pionowe ściany skalne, które sprawiały, że powietrze było tu za chłodne i słońce nie przenikało do tego miejsca. Toteż nie było ani kwiatów, ani warzyw, a nad wodą pasła się tylko koza. W jednym punkcie, gdzie przez wyłom w skałach padał snop promieni, stały niby cud pośrodku łąki dwa drzewa pomarańczowe, niezbyt obfitujące w owoce, ale świeże i powabne.

²⁴*morga* a. *mórg* — dawna miara powierzchni gruntu. [przypis edytorski]

— Brata nie ma w domu, Tereso! — zauważył Niemiec.

Spojrzała na łąkę i odparła:

— Oto tam jest, u krańca wąwozu. Woda naruszyła mur tamy. Narzuca na kamienie wał ziemi, by nie dopuścić do zalania łąki. Pamięta o wszystkim i wszystko umie. Choćby kto tysiąc lat szukał, nie znajdzie mądrzejszego odeń człowieka!

— Czemuż się marnuje w samotności?

— Bo tak chce.

— Biedaczko! Czyż tuś wyrosła i nie widziała więcej słońca niż te dwa drzewa pomarańczowe? Wątpię o tym. Policzki twe, panienko, zbyt smagłe, by miały pociemnieć podczas wędrówek do kościoła.

— Dopiero przed niespełna czterema laty przybyliśmy tu — odparła — a Tomasso kupił młyn. Przedtem, gdy zajmował się w Neapolu rybactwem, nie miał pojęcia, jak wygląda koło młyńskie i jak się obracają kamienie. Ale zaraz pierwszego dnia puścił młyn w ruch, stary młynarz bowiem właśnie zmarł, i uczy-

nił to z taką łatwością, jak gdyby niczym innym nie zajmował się od dzieciństwa. Nie ma na królewskim dworze człowieka mądrzejszego od Tomassa!

Przybysz słuchał, nie mógł jednak dostrzec twarzy pracującego na skraju łąki Tomassa, który nie spojrział nawet ku młynowi. Widział tylko jego wyniosłą postać, czarne kręte włosy, szary kapelusz i ciemny kaftan, luźnie zwisający z ramion.

— Cóż go zniechęciło do miasta, morza i pięknego zawodu? — spytał stojącej obok siostry.

Udała, że nie słyszy, i rzekła:

— Wie pan co? Zaczynaj pan zaraz mój portret, by był gotów, zanim brat wróci. Spytajmy, kogo przedstawia, a jeśli pozna, da panu zań, ile zechcesz, bo wcale nie jesteśmy biedni. W Neapolu brat miał pod sobą siedmiu rybaków, wyjeżdżał na morze trzema barkami i mógł kupić posiadłość ziemską zamiast tego młyna. Cóż mu jednak po pieniądzach, gdy go serce boli. Siadaj pan! Przestaną gadać, bo na

papier należy przenieść w spokoju usta, oczy i wszystko.

Biedny nasz znajomy w niemałym znalazł się kłopotcie.

— Trochę tu ciemno! — zauważył, a serce mu zabiło.

— Idźmy tedy na łąkę.

— Tam znowu za jasno, Tereso. Wiesz dobrze, jak trudno znaleźć właściwe oświetlenie.

— Mam radę! — zawołała żywo, otwierając okiennice. — W izbie teraz w sam raz jasno i gdybym umiała, zaraz bym pana jak najdokładniej odmalowała na ścianie.

— Ano to zaczynajmy! — powiedział zuchwale.

Przysunęła dwa stołki do okna, przez które widać było całe koryto potoku i czeluść skalną, a on dobył papier, przeznaczony na dar Muzy poetyckiej²⁵, wziął w rękę ołówek i poprosił, by usiadła.

²⁵*muza poetycka* (mit. gr.) — znane są cztery muzy, związane z poezją: Kalliope (poezja epicka), Erato (poezja miłosna), Euterpe (poezja liryczna) i Polihymnia (poezja chóralna). [przypis edytorski]

Ciemny rumieniec oblał smagłe policzki dziewczęcia, gdy uczuła na sobie jego bystre spojrzenie. Oczy o czarnych, długich rzęsach, niby skrzydłach orła, patrzyły nieruchomo na świat, czasem przesłaniała je tylko mgła nateżenia. Poprosił, by się poruszała swobodnie, gdyż to nie zaszkodzi portretowi. Nie mogąc się powstrzymać, dotknął jej włosów, poprawiając niby fryzurę.

— Tereso! — szepnął.

— Co? — spytała.

— Nic!

Niepodobieństwem było rzec coś czułego lub oklepanego wobec spojrzenia jej wielkich oczu. Czoło miała silnie zarysowane, szerokie i równe, a brwi spokojne i sklepiste. Postanowił udawać przez pół godziny, że rysuje gorliwie, rozkoszować się jej widokiem, potem zaś podrzeć papier, zwalić wszystko na złe światło i brak usposobienia, a w końcu odejść.

Obrał spokojnie pozycję i zaczął, w tej jednak chwili spostrzegł na ścianie przeciwległej

komory portret męczyzny w czarnych ramach i to dało mu pożądany pretekst przerwania.

— Śliczny masz, widzę, Tereso, portret brata! — powiedział i wstał, by go obejrzeć. — Któż go malował? Zaiste jest to doskonała rzecz! Cóż za łagodne, a płomienne, rysy. Coraz to większą odczuwam ochotę poznania go.

— Nigdy pan nie poznasz człowieka, którego ten portret wyobraża! — powiedziała z wahaniem.

— To nie brat?

— To jego przyjaciel. Zmarł za młodu, a wielu go opłakiwało.

— Przykro pani mówić o tym, przebacz, Tereso, natrętne pytanie.

Usiadł znowu przy oknie. Rumieniec znikł z jej twarzy, a oczy przygasły. Po pauzie, podczas której słyhać było tylko szum z głębi parowu, zaczęła sama:

— Słusznieś pan powiedział, że był łagodny i płomienny zarazem. Mogło go oszukać dziecko, a skoczyłby w krater Wezuwiusza na

żądanie osób kochanych. Mężczyźni są, jak powiada Tomasso, źli, on jeden był dobry. Kto go ujrzał, odczuwał, że nie ma na świecie czystszej duszy. Czyż dziwne, że Tomasso nie znosi morza, które mu pochłonęło takiego przyjaciela? Serce jego rozdarte od dnia, kiedy ruszył wraz z nim na połów, a wrócił sam. Nikt mu za złe nie miał, że posmutniał i znienawidził swoje rzemiosło.

— Czy zmarły był rybakiem jak brat?

— Był śpiewakiem. Rodzice jego żyją do-
tąd. Będąc chłopcem, zachwycał już wszystkich śpiewem w kościołach. Bogaty stryj, mający na plaży restaurację, oddał go na naukę do pewnego mistrza i Nino miał niebawem wstąpić do opery. Wyobraź pan sobie, że przyszedł on do mego brata w przeddzień pierwszego występu, kiedy cały Neapol o nim tylko mówił. Przybył wieczorem, byli zaś z dawna zaprzyjaźnieni.

„Toma — powiedział — możebyśmy się przejechali po morzu?”.

„Nie mam czasu, Nino — odparł brat — muszę zapuścić sieci, wezmę tylko pomocnika Beppa”.

„Daj mu spokój! — namawiał. — Ja ci pomogę. Przekonasz się, że niczego nie zapomniałem przez czas ślęczenia nad nutami”.

— Pojechali. Widzę ich dotąd. Nino siadł u steru, a Tomasso wiosłował. Włosy biednego Nina pałały poświatą zachodu, oczy zaś wpatrywały się w nasz dom. Obraz ten mam nieustannie przed sobą. Zaledwie słońce zaszło, usłyszałam uderzenia wiosel, wybiegłam, ale Tomasso był sam, wiosłował jak szalony i krzyczał:

„Dobry wieczór, Tereso! Przynoszę ci pozdrowienie od Nina, który śpi na dnie morza!”
— Więcej nie rzekł nic.

— Straszne to, szkoda pełnego nadziei młodzieńca! Jakże się to mogło stać? Wszakże było ich dwóch i mieli łódź.

— Ściągnęła go w głąb ciężka sieć. Kółek, którym była przytwierdzona do burty, ułamał się nagle, oni zaś rzucili się, by przytrzy-

mać tonącą sieć. Nino zaplątał się w nią, łódź przewróciła się, a gdy Tomasso wypłynął na wierzch, ujrzał pustą barcę, obok zaś na fali słomiany kapelusz przyjaciela ze wstążką, którą go przybrałam poprzedniego dnia.

— Biedny Nino!

— Nie żałuj go pan! — zawołała. — Poszedł prosto do raju i śpiewa swym słodkim głosem Madonnie. Żałuj raczej brata mego, bo cała jego radość życia zatoneła w głębinie i żaden nurek jej nie wydostanie. Od tego dnia biedny Tomasso nie uśmiechnął się ani razu. Zanim poszedł w góry, spalił łodzie i sieci, a ludzie, patrzący na to, mówili: „Dobrze czyni!”. Wiedzieli bowiem wszyscy, że był mu bratem.

Umilkła i zapatrzyła się w głąb czeluści, ręce złożywszy na kolanach. On zaś zatopił się w dziwne losy chłopca, które ją tak wzruszały, nie myśląc o rysowaniu. Nie odczuwała już, widać, goryczy nieszczęścia, tylko miała przed oczyma duszy czysty obraz młodzieńca i słyszała jego słodki głos.

Tym bardziej przeraził się przybysz, widząc, jak jej spokojne rysy ogarnia wyraz dzikiej namiętności. Niby łabędź na widok węża zerwała się z sykiem ze stołka. Drżała na całym ciele, piersi jej falowały, pobladłe wargi rozwarły się kurczowo.

— Cóż to, Tereso? Co się stało? — spytał.

Daremnie usiłowała wyrzec słowo. Spojrzał w punkt krańcowy wąwozu, w którym utkwiała oczy, ale doznał jeszcze większego zdumienia, gdyż to, co zobaczył, nie było zgoła straszne. Mokrą i na poły jeszcze zalaną ścieżką kroczyła osoba w swoim rodzaju nie mniej pociągająca niż Teresa. Była to młoda, jasnowłosa, czarno ubrana kobieta; szła ostrożnie, stąpając po wodzie ku młynowi. W lewej ręce niosła trzewiki i pończochy, prawą podgięła bufiastą spódnicę ruchem, co prawda, trochę zuchwalszym, niż to przedtem uczyniła Teresa. Kapełusz słomkowy z polatującymi na wietrze czarnymi wstążkami zsunął się jej na kark, odsłaniając twarz z dala już połyskującą bielą i ru-

mieńcem. Oczyma śledziła pilnie zakręty ścieżki.

— Kto jest ta kobieta, Tereso, i czemu tak się zmieniłaś na jej widok? — spytał cudzoziemiec.

— Cóż on uczyni? — mruknęła do siebie, nie zważając nań. — Jeszcze piękniejsza niż przedtem! To fatalne! Cóż znaczy ta czerń? A może stary zmarł? Święta Madonno!

Najdziksze myśli mknęły jej snadź²⁶ przez głowę, bo mówiła do siebie, zapomniawszy zupełnie o gościu:

— Niech przyjdzie! Dobrze! Znamy ją i nie boimy się!

Przypomniawszy sobie, że nie jest sama, dorzuciła żywo:

— Musi się pan schować w młynie! Nie może pan tu zostać. Ona mnie nienawidzi i oczerzyłaby niezawodnie, zobaczywszy tu kogoś obcego. Wstańże pan, na miłość boską, i bądź cicho, by nie usłyszała. Nie potrwa to długo, jak sądzę.

²⁶*snadź* (daw.) — zapewne, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

— Jeśli zawadzam, Tereso — powiedział — to odejdę drugim końcem wąwozu.

— Zmylisz pan na pewno drogę, a idąc tędy musisz spotkać tę czarownicę.

— Namyśl się dobrze, Tereso! — zauważył. — Cóż by się stało, gdyby brat wszedł do młyna i zastał obcego człowieka?

— Brat zna mnie! — odparła dumnie.

— Jeszcze słowo! Któż ona jest? Czego się obawiasz?

— Najgorszego. Ale znam Tomassa. Jest to żona stryja Nina. Gdy woda wyrzuciła jego zwłoki pod Pozzuoli²⁷, tylko jej oczy pozostały suche. Niech jej Bóg przebaczy, ja nie mogę! Znienawidziła mnie, bowiem wielu uznało mnie za piękniejszą. Chce mi porwać brata podstępem. Ale Tomasso zna ją, zresztą któż by nas mógł rozłączyć? Proszę, wejdź pan tu i zachowuj się cicho. Potem powiem bratu, czemu to uczyniłam.

²⁷*Pozzuoli* — miasto i gmina we Włoszech, w regionie Kampania, w prowincji Neapol. [przypis edytorski]

Wepchnęła go i zamknęła szczelnie drzwi. Słyszał, jak wybiegła spieszenie na łąkę. Więźnia opanowało w pierwszej chwili przygnębienie i obawa, wkrótce jednak niezwykłość przygody wzięła górę i zaczął sobie układać, co uczyni w danym wypadku. Przy tym rozglądał się, obserwując różne nieznane sobie przyrządy, prymitywny mechanizm koła, wielkie sita, skrzynie i różnej wielkości kamienie młyńskie, oparte o ściany. W kącie stało łóżko Tomassa, na kołdrze leżała książka do nabożeństwa, nad wezłowiec wisiała kropielnica²⁸. Światło słońca dostawało się tu tylko przez luki w osadzie koła, ukazując jego szprychy oraz przeciwległy brzeg parowu. Za chwilę spostrzegł otwór w ścianie od strony izby, której część mógł ogarnąć spojrzeniem. Tu zajął stanowisko, oczekując z rosnącym coraz zaciekawieniem dalszego toku sprawy.

Niebawem rodzeństwo wróciło z łąki, a więźnień zauważył bliźniacze podobieństwo brata do

²⁸*kropielnica* — naczynie na wodę święconą przy wejściu do kościoła. [przypis edytorski]

Teresy. Mięśnie jego twarzy grały pod wpływem hamowanego wzburzenia, a z oczu błyskało ponuro. Nie zauważył, zda się, że kaftan spadł mu z pleców. Stał długo przy stole, skrzyżowawszy ramiona, i kiwał czasem głową, okoloną gęstą czarną czupryną, słuchając siostry, która szeptała mu coś gwałtownie w miejscowym narzeczu, niezrozumiałym dla cudzoziemca. Ale myśli jego zdawały się bujać daleko. Czasem drgnęła mu dolna szczęka, milczał jednak ciągle. Miał około trzydziestu lat, a obcy, uwięziony w młynie, dziwował się jego pięknej postaci.

Rozległo się pukanie z zewnątrz. Teresa odskoczyła od brata i, usiadłszy na stołku przy ognisku, ujęła w rękę kołowrotek. Zdawało się, że pracuje już co najmniej godzinę, gdy na zawołanie Tomassa, który nie zmienił postawy, drzwi się otworzyły. Twarz jej była teraz chłodna i spokojna.

Jasnowłosa kobieta weszła z niejakim wahaniem, pozdrowiła obecnych i zaczęła, zakłopotana, poprawiać coś koło ubrania. Potem otrzą-

snęła ze spódnicy krople wody, postawiła na ziemi trzewiki i wsunęła je na nagie stopy. Poruszenia jej były miękkie, pełne uroku, na poły jakby świadome, naturalne i wdzięczne. Twarz, rozgrzana drogą, pałała gorącym rumieńcem, a czarna suknia podkreślała wyraźniej jeszcze delikatną karnację ciała i matowy ton jasnych włosów, niezwykłych na Południu. Była nieco niższa od Teresy, pełniejsza i bardziej gibka, a ruchy miała żywsze. Ciemne oczy paliły się żarem neapolitańskiego nieba.

— Dzień dobry, Tereso! Jak się masz, Tommaso? — powiedziała.

— To ty, Łucjo — odrzekła dziewczyna. — Cóż cię sprowadza z Neapolu do naszej samotni?

— Proszę, usiądź, witamy cię, Łucjo! — rzekł brat, nie ruszając się z miejsca.

Posłuszna zaproszeniu, usiadła przy oknie i dalej poprawiała odzież.

— Miałam interes w Carrotta²⁹ — ozwała się po chwili, zdejmując słomkowy kapelusz i odgarniając włosy z czoła — toteż postanowiłam przed odjazdem odwiedzić cię, Tereso. Droga do was bardzo uciążliwa, a długo trwała niepogoda.

— Młyn szedł za to doskonale! — zauważyła Teresa krótko.

Łucja rozejrzała się po izbie, a spojrzenie jej musnęło twarz Tomassa, który z pozorną obojętnością malował kredą po stole kreski jedną przy drugiej. Wszyscy troje wiedzieli, że muszą paść słowa decydujące, ale każde czekało, by ktoś inny zaczął pierwszy.

— Przynieś Łucji szklanekę wina! — powiedział wreszcie Tomasso, nie patrząc na siostrę, która przedła gorączkowo.

Przybyła zawahała się, potem zaś rzekła:

— Nie trzeba wina, zaraz muszę iść. Wieczór się zbliża, a w przystani Carrotty czeka na

²⁹*Carrotta* — niezidentyfikowane miejsce, prawdopodobnie już nieistniejące lub będące owocem fantazji autora, w okolicy Sorrento. Być może chodzi o okolice Sorrento w znaczeniu uogólnionym: Carotto to część składowa historycznej gminy Piano di Sorrento. [przypis edytorski]

mnie barka, którą chcę dostać się przed nocą do Neapolu. Jakże długośmy się nie widzieli! Czemuż nie zjawisz się kiedy u mnie, Tereso? Ciężko być musi przetrwać zimę w tym wąwozie.

— Nie ciężka mi jest najmroźniejsza zima, gdy jestem przy bracie. Cóż mam do roboty w Neapolu, nie mam tam przecież nikogo.

Zamilkli znowu. W końcu Tomasso rzekł spokojnie, zwracając się do siostry:

— Czyś zrobiła w stajni porządek przed nocą?

Zadrzała z lekka, wiedząc, co to znaczy. Spojrzawszy na brata poznała z jego powagi, że chce, by wyszła, odstawiła więc kołowrotek i po chwili hałaśliwie krzątała się u drzwi stajni, by usunąć podejrzenie, że podsłuchuje.

Stojący w ukryciu przybysz uczuł silne bicie serca, gdy znalazł się sam na sam z tą parą. Po części tylko znał przeszłość obojga, ale wiedział dość, by przeczuwać, że nastąpi scena ważna. Spoglądał raz po raz na mężczyznę i siedzącą u okna piękną kobietę i odczuwał

całą przykrość sytuacji. Miały paść słowa nieprzeznaczone dla uszu osoby trzeciej. Przeleciało mu przez myśl, by się wycofać w najdalszy kąt komory młyńskiej, ale kroki zdradziłyby go niechybnie, musiał więc zostać na miejscu.

Milczenie trwało jeszcze przez jakiś czas, potem rzekła Łucja:

— Siostra twa, Tomasso, nienawidzi mnie! Cóż jej uczyniłam złego?

Wzruszył ramionami.

— Nie mogę się czasem uspokoić — mówiła dalej — myśląc, że to właśnie z jej winy tak odsunąłeś się od nas. Nie chce, by ktoś rzekł do ciebie słowo, chce cię mieć wyłącznie dla siebie.

— Tak nie jest, Łucjo! — rzekł oschle. — Miałem własne powody, opuszczając Neapol.

— Wiem, Toma, wiem. Najmniejsze dziecko zrozumie, że po tym nieszczęściu utraciłeś wszelką chęć do rybołówstwa. Ale minęłoby to pewnie, gdyby nie Teresa, która cię namówiła, byś się zamknął w tej pustce i dziczy. Wszakże wszystkim nam los się daje we znaki, a musimy

żyć pośród ludzi. Nieszczęścia zsyła niebo, nie należy przeto³⁰ trwać w zapamiętałości i nie-nawidzić ludzi, którzy niczemu nie są przecież winni.

— Czy nie są winni, to jeszcze kwestia! — zauważył.

Spojrzała nań przenikliwie.

— Nie rozumiem cię, Toma! — powiedziała. — Wielu rzeczy od wyjazdu twego nie rozumiem. Czemużeś nie odpisał ani razu na moje listy, przesyłane przez parobka Angela. Mówił, że ci doręczył oba do rąk własnych, inaczej mogłabym była mniemać, że je przejęła Teresa.

— Listy? Spaliłem je.

— I cóż mi teraz odpowiesz?

— Łucjo, nie przeczytałem ani słowa.

Zadrzała, on zaś ciągnął dalej:

— Angelo zawiadomił mnie o śmierci twego męża. Zmartwiłem się tym, bo był to prawdziwy *galantuomo*³¹, i niesprawiedliwość, jakiej

³⁰przeto (daw.) — zatem, dlatego. [przypis edytorski]

³¹galantuomo (wł.) — poczciwy, szlachetny człowiek, dżentelmen. [przypis redakcyjny]

się względem niego dopuściłem, ciąży mi teraz podwójnie. Jesteś młoda i piękna, Łucjo, znajdziesz przeto niebawem innego, młodszego. Bądź z nim szczęśliwa!

Rzekłszy to, rzucił kredeę, założył ręce w tył i zaczął chodzić po izbie, a ona śledziła jego ruchy z niespokojnym napięciem. Wreszcie spytała:

— Czy Teresa wie, że jestem wdową?

— Poznała to teraz dopiero po twojej zaślubnej sukni. W ciągu czteroletniego pobytu tutaj nie wymówiliśmy waszego nazwiska.

— Nie czytałeś listów, więc nie wiesz, że mąż mój zapisał ci trzysta piastrów³². Ale musisz je osobiście odebrać w sądzie w Neapolu, gdzie są złożone w depozycie.

— Niechże sobie tam leżą do sądnego dnia! — odparł bez namysłu. — A może wolisz rozdać je ubogim? Nie pójdę po nie, choćbym był w przykrzejszych warunkach niżli te, w jakich się, Bogu dzięki, znajduję. Nie wezmę pieniędzy

³²*piastr* — drobna moneta, będąca w obiegu w Egipcie, Libanie i Syrii. [przypis edytorski]

dzy od twego męża, Łucjo, choćby mi przyszło umrzeć z głodu.

— Cóż mówisz, Tomasso! — rzekła cichym, smutnym głosem. — Jakże sobie mam to tłumaczyć? Wszakże inaczej rozmawialiśmy dawniej z sobą!

— Tym gorzej, że tak było!

Wstała z krzesła i przystąpiła doń, usiłując lekliwie spojrzeć mu w oczy. Ale patrzył uparczywie w stół, przy którym stanął ponownie, jak by chciał zasłonić się czymś przed tą pełną ponęt kobietą. Założyła ręce pod wydatnymi piersiami, a Niemiec dostrzegł ze swego punktu obserwacyjnego błękitne żyłki na krągłych ramionach i cienkie palce, drgające nerwowo u bijącego mocno serca.

— Cóż ci uczyniłam złego, Toma? — spytała ledwo dosłyszalnie. — Jeśli mnie ktoś przed tobą oczernił, to powiedz otwarcie, ja zaś położę dłoń na hostii i przysięgnę, że nie poczuwam się do żadnej winy. Żyłam z mężem jakby żywcem pogrzebiona, od kiedyś wyjechał, a nie ma człowieka, który by śmiał powiedzieć, że

gospodyni „Syreny” obdarzyła go choćby spojrzeniem czy uśmiechem.

— To jest twoja rzecz i była rzeczą twego męża! Po cóż to mówisz mnie?

Łzy napełniły jej oczy na te twarde słowa, a Tomasso uczuł, choć nie patrzył na nią, że cios ten dotknął ją boleśnie. Pomilczawszy chwilę, powiedział:

— Na cóż się zda przywdziewać maskę i mówić wykrętne słowa? Pomówmy otwarcie. Przybyłaś tu, Łucjo, by mi powiedzieć, że jesteś wolna i nic nas już nie dzieli. Ja zaś powiadam ci, że dzieli nas ktoś, i skazani jesteśmy na dożgonne pokutowanie za grzechy nasze i wieczystą rozłąkę.

Mimo że mówił stanowczo, uczuła nieco otuchy.

— Za grzechy nasze? — spytała żywo. — Cóż sobie możemy wyrzucać? Czyż miłość nasza dała nam coś oprócz łez i wzdychania z od dali? Czyż nie pierwszy byłby to nasz pocałunek, gdybym ci się teraz rzuciła na szyję? Wiem

jednak, kto nas dzieli, oto siostra twoja, Tommaso!

Zaprzeczył gwałtownym ruchem głowy.

— Nie, nie ona! — zawołał. — Nie pytaj o nic i nie sądź, byś mogła wroga naszego usunąć kiedykolwiek z drogi. Nie jest to człowiek żywy! Wracaj do Neapolu, Łucjo, i nie przychodź tu już. Nie chcę i nie wolno mi się z tobą spotykać.

Przystąpiła do stołu tak porywczo, że musiał na nią spojrzeć. Na twarzy jej malowała się rozpacz i namiętność.

— Nie odejdę, dopóki się nie dowiem wszystkiego! — zawołała. — Mąż mój zmarł, Nino dawno leży w grobie, siostra twa będzie panią w naszym domu. Za pierwszym złym słowem do niej powiedzianym możesz mnie wygnać precz. Powiedziałaś i czuję to, że sercaś mi swego nie odebrał, powiedz tedy, kto nas jeszcze może dzielić, Tommaso?

Zadrżał stół, o który oparty był młody człowiek.

— Powiem ci, kiedy chcesz! — jęknął głucho. — Nino nas dzieli!

— Kłamiesz! Chcesz odwrócić moją uwagę od Teresy, bym jej nie odpłaciła za zło, jakiegom od niej doznała. Pożałujesz tego, żeś się mną tylko bawił, a potem porzucił. I ona odpokutuje owo niezgodne z rozsądkiem chowanie cię, niby skarbu, wyłącznie dla siebie w tej dziczy. Odchodzę!

— Przysięgam na mękę Pańską, Łucjo, nie kłamię! — zawołał. — Prawda, że siostra moja przebaczyć ci nie może, ale powtarzam z całą stanowczością, że Nino nas dzieli. Nie wie tego nikt, nie przeczuwa tego nawet Teresa. Umarłaby niechybnie, gdyby się dowiedziała!

— A gdybym ja się dowiedziała?

— Wówczas przestałabyś myśleć o nikczemnym Tomassie i nie wkroczyłabyś już nigdy na ścieżkę, wiodącą do młyna!

Ukryła twarz w dłoniach.

— Mylisz się! — odparła. — To stać się nie może nigdy. Łudzisz się, jakoby coś stało pomiędzy nami, a ja rozwieję to urojenie jak

dym. Jeśli nie powiesz, nie zaznam pokoju ni w dzień, ni w nocy, a nim rok minie, dowiesz się, żeś mnie wtrącił w grób.

Zadrzał i wydało się, że toczy walkę ostateczną. Potem spojrział tępo, rozpacznie, długo obejmował wzrokiem jej rysy, potem zaś rzekł:

— Musi się skończyć!... Nie chcę po raz drugi widzieć cię u siebie i przeżywać straszliwej męki rezygnacji. Przysięgnij mi, Łucjo, na zbawienie duszy, że nie powtórzysz nikomu moich słów. Niech nawet podczas spowiedzi przedzgonnej nie dowie się tego kapłan. Nie idzie mi o to, że przepadłbym bez ratunku, gdyby się rozniosło, ale nie przeżyłaby tej wieści Teresa. Przysięgnij!

Podniosła rękę i rzekła:

— Na zbawienie duszy przysięgam ci, Tommaso, że oprócz mnie i ciebie nie będzie wiedział nikt w świecie.

Westchnął głęboko, siadł ciężko na krześle, oparł ramiona na kolanach i zapatrzył się w podłogę.

— Łucjo — rzekł półgłosem — powiedziałem prawdę! Nino dzieli nas teraz, choć nie żyje, podobnie jak dzielił nas wówczas. Był czysty i niewinny jak Abel, a ja mu byłem Kainem³³. Kain skrył się w pustkowiu, czy teraz rozumiesz?

Milczała.

— Masz słuszność! — ciągnął dalej. — Któż to zdoła pojąć? Jawią się chwile, kiedy piekło nabiera nad nami takiej władzy, że, zda się, obcy duch, zły duch tłumi wszelkie lepsze porywy, a rozpętuje szatańskie zakusy. Czyż myśmy to sprawcami czynów naszych, dokonanych w takich momentach? Tego nie wie i kapłan, tego nie wie nikt z ludzi!

O, jakże go kochałem! Zamordowałbym każdego, kto by mi szepnął bodaj jedno złe słowo o nim. Śpiew jego rozpraszał wszelkie moje troski, obecność jego rozjaśniała mi dom. Nie sposób miłować goręcej syna czy brata, byłem zeń dumny. Gdy w Neapolu zaczęto mó-

³³*Abel i Kain* (rel.) — biblijni bracia, bohaterowie *Księgi Rodzaju*; Kain zamordował Abła. [przypis edytorski]

wić o jego talencie, zwierzałem się naiwnie ludziom, że to „nasz Nino”, że mnie z nim łączy przyjaźń od dziecka, a wydawało mi się, jakoby mu talent śpiewacki sam wyłowił z toni i podarował. A jakże się wobec mnie zachowywał? Był już słynny, uczęszczał do księżąt i hrabiów, znał wykwintne, piękne kobiety, zazdroszczące sobie wzajem jego spojrzenia, a mimo to często przychodził do naszego domu, przestawał najchętniej ze mną, raz zaś, spotkawszy mnie idącego z siecią na ramieniu, porzucił znajomego, z którym rozmawiał, i odprowadził mnie kawał drogi. Nikt nadeń serdeczniejszy nie był, nikt bardziej wolny od fałszu czy grzechu. Mógł mieć wszystkie kobiety w Neapolu, a nie uważał ich za wartę jednej figi. Wyśmiewałem się nawet często z niego, nie wiedząc jeszcze, kto mu kochać przeszkadza.

Jedną mi tylko wyrządził krzywdę, oto, że mnie zawiódł do domu swego stryja, gdy zacy ten człek przeniósł się z Kapui³⁴ do Neapo-

³⁴*Kapua* — miejscowość i gmina we Włoszech, w regionie Kampania, w prowincji Caserta. [przypis edytorski]

lu i kupił „Syrenę”. Wszakże przybył on głównie, by radować się powodzeniem Nina, którego losu był twórcą, ale czemuż przywiózł ze sobą ciebie, Łucjo? Tej samej chwili straciłem mego Nina, Bóg jeden wie, nie z jego winy. Czyż mógł mu jednak ktoś prócz mnie i ciebie czynić zarzut z tego, że stoi na straży czci swego dobroczyńcy?

Nigdy mi nie miał za złe różnych moich miłostek. Sam będąc niewinny jak archanioł Rafael³⁵, wiedział, że nie wszyscy są tacy, i nie zamierzał zmieniać ludzi. Spostrzegł, że się kochamy, Łucjo, ale nie wspomniał o tym ani razu, unicestwiał tylko wszystkie nasze podstępny i fortele. Wrzałem nań gniewem i poprzysięgałem nieraz, że zerwę z człowiekiem strzegącym twego progu pilniej niż sam wuj, niż brat lub kochanek. Nie kochał cię i nie kierowała nim zazdrość. Na jego widok gryzłem z wściekłości wargi, ale szął mój koł dźwięk jego głosu.

³⁵archanioł Rafael (rel.) — w tradycji żydowskiej i chrześcijańskiej jeden z najwyższych rangą aniołów. [przypis edytorski]

Zdawało się, czytał me myśli i po wiele razy przedstawiał, jak dobry jest wuj i co dlań uczynił. Patrzył przy tym tak, jak by chciał powiedzieć: „Toma, niepodobna ci skrzywdzić człowieka, któremu przyjaciel twój zawdzięcza wszystko, a który dla ciebie jest tak dobry i tak ci ufa”.

Rozumiałem go, ale gdym cię ujrział, ni-
kły wszystkie skrupuły i dobre postanowienia,
a sumienie me stawało się martwe jak drzewo
objęte strumieniem gorącej lawy. Żyłem tak
przez rok, ja, którym nigdy nie mógł czekać
na nic przez dni kilka. Pewnego razu mąż twój
wyjechał na Ischię³⁶, my odetchnęliśmy obo-
je, ale Nino zamieszkał zaraz w „Syrenie”, po-
dając za powód, że musi pisać nuty, a w jego
pokoju panuje hałas. Wówczas już opanowały
mnie ponure myśli. Chciałem mu wsypać do
wina pewien środek, otrzymany od znajomego,
który miał usypiać na całą dobę. Potem jednak
zawahałem się, gdyż mogła to być trucizna lub
mogło to zaszkodzić jego głosowi. Zaniecha-

³⁶*Ischia* — wyspa na Morzu Tyrreńskim. [przypis edytorski]

łem tedy wszystkiego, ale został we mnie kolec i unikałem go tak, jakby to on właśnie nastawał na moje życie.

Zbliżał się dzień jego pierwszego występu w operze. Wiesz dobrze, Łucjo, żeśmy ułożyli, iż wymknę się po pierwszym akcie i przybędę, ty zaś będziesz udawać chorą, by nie iść z mężem do teatru. Inaczej nie ruszyłbym się z miejsca przed ostatnią nutą jego śpiewu. Ale przejęty byłem cały tym, co mnie czeka.

W wigilię występu przyszedł do mnie wieczorem i namówił, byśmy ruszyli na morze. Nie wiem, diabeł czy anioł objawił mu nasze zamiary, dość, że teraz właśnie rozmówił się ze mną otwarcie. Wyparłem się wszystkiego. „Toma! — zawołał. — Jeśli mi nie przyrzekniesz po przyjacielsku zaniechać schadzki, to będzie źle ze mną. Zaśpiewam jak kruk i zostanę wygwizdany. Stracę wszystko. Bracie, żądam tego od ciebie! Mógłbym ostrzec wuja, ale dowiedziawszy się, co zamierza jego żona, zerwałby z nią niezwłocznie; a przyjaźń nasza przepadłaby także. Przyrzeknij mi uczynić tę ofiarę,

której chyba wart jestem!”. Milczałem uparcie, patrząc na sieć, i nie słuchałem dalszych jego słów. Miałem twój obraz przed sobą, a krew tętniła w mych skroniach.

W godzinę potem przybiłem sam w barce do brzegu...

Ostatnie słowa zabrzmiały głucho i bezdźwięcznie. Tomasso siedział z twarzą opuszczoną na kolana. Łucja pobladła śmiertelnie, oboje trwali bez ruchu, w izbie mrok zapadał, a z zewnątrz dochodził poprzez szum potoku śpiew Teresy, nucącej *ritornello*. Dawała w ten sposób znać bratu, by nie przedłużał nad miarę jej czekania. Głos ten zbudził go z zadumy. Wstał i pochylił się przez stół do kobiety.

— Łucjo — rzekł chrapliwie — nie skłamałem wówczas. Ściągnęła go w głąb sieć, w którą zaplątał nogi. Nie ja to przewróciłem barkę. Siedziałem u steru, gdy wpadł w wodę. Skostniałem jak lód, patrząc na fale, zamykające się nad jego głową, widziałem bańki powietrza, wylatujące na powierzchnię i świadczące, że jesz-

cze oddycha tam, w toni. Nagle ukazała się ręka jego, sięgająca po dłoń przyjaciela. Dzieliła ją ode mnie tylko długość barki. Na palcu dostrzegłem srebrny pierścionek. Starczyło podać wiosło, a byłby ocalony, Łucjo! Czemuż nie chciałem, czemuż nie mogłem się na to zdobyć! Wszakżem miał wiosło na kolanach, jeden ruch, a ręka z pierścionkiem pochwyciłaby je. Niestety, demon władający mym sercem obezwładnił me mięśnie i ściał mi krew w żyłach. Siedziałem skamieniały, czułem zawrót głowy, chciałem krzyknąć i wpatrywałem się w tę dłoń, która opadała coraz to bardziej, zanurzała się po pierścionek, po końce palców i wreszcie znikła.

Wówczas dopiero zawrzało we mnie piekło. Wrzasnąłem dziko i skoczyłem w głąb tak, że łódź się wywróciła. Dałem nurka raz i drugi, ale nie znalazłem go, mimo że często dobywałem z dna drobne monety. Po daremnych wysiłkach dopłynąłem zrozpaczony do barki. Ale miara cierpień nie była jeszcze pełna. Wróciłem do domu bez niego, a Teresa na wieść hiobową padła bez zmysłów i zdawało się, że życie

z niej uciecze. Pierścionek na palcu Nina był jej własnością. Zaręczyli się w przeddzień tragicznej przygody, o czym nie wiedziałem.

Padł z powrotem na krzesło i oczy skierował na powałę³⁷. Dyszał chrapliwie jak człowiek śpiący głęboko, a Łucja przesuwiała dłoń po twarzy, ścierając krople zimnego potu. To, co posłyszała, wyszlachetniło jej miękkie, zmysłowe rysy. Była teraz piękniejsza jeszcze, nie zdając sobie z tego sprawy.

Wreszcie Tomasso ocknął się.

— Jeszcześ tu, Łucjo? — zawołał. — Czegoż chcesz ode mnie? Czyż nie widzisz ręki z pierścionkiem, która wychyla się z fal i dzieli nas? Gdybyś mi przed ołtarzem podała dłoń ze złotą obrączką, włosy by mi powstały na głowie, straciłbym zmysły, ręka twoja wydałaby mi się ręką Nina, a diabeł wypędziłby mnie z kościoła. Idź do domu, Łucjo, zapomnij o wszystkim, dotrzyмай przysięgi i pomódl się czasem za biednego Tomassa.

³⁷*powala* — drewniany strop. [przypis edytorski]

Wstał i podszedł do kominka. Cudzoziemiec widział, jak dygoce.

— Czyż to nie minie? — szepnęła po chwili kobieta.

Nie odwracając się do niej, potrząsnął głową i zaprzeczył ruchem ręki. Wówczas ona powiedziała z cicha:

— Niech cię Bóg strzeże, Tomasso! Niech Madonna użyczy ci pociechy i spuści sen ukojny na oczy twoje. Niech również uciszy mnie, która nie przestanę płakać po tobie. Dziękuję ci, żeś mi wszystko powiedział, inaczej bowiem nie przeżyłabym naszej dozgonnej rozłąki. Dziękuję ci, że mnie kochasz. Nie przestań mnie kochać, Tomasso, bo jest to wszystko, co posiadam!

Nie spojrział już na nią, nie widział jej łez, płynących cicho, ni gestu pożegnania i gwałtownego zwrócenia się ku wyjściu. Zostawiła drzwi otwarte, a gdy siostra wpadła niezwłocznie, zastała go stojącego przy kominku.

— Toma! — krzyknęła, łkając i śmiejąc się jednocześnie, i zarzuciła mu ramiona na szyję.

— Zerwałeś z nią! Mój jesteś! Nic nas nie rozłączy!

Spostrzegła, że jest śmiertelnie blady, i to ją przeraziło.

— Tyle cię to kosztowało, Toma? — zawołała. — Nie! Nie, tegoś nie powinien był jednak uczynić dla mnie! Zawołaj ją! Posłyszycię jeszcze. Niech wraca, a gdy przybędzie, powiedz...

— Cicho bądź, dziecko! — rzekł stanowczo, siląc się na uśmiech, choć oczy smutnie patrzyły na Teresę. — Wszystko skończone! Wierz mi, nie ponoszę żadnej dla ciebie ofiary. Gdybyś nie była przeżyła owej katastrofy sprzed czterech lat, powiedziałbym Łucji to samo co dziś. Niedługo zapadnie noc. Zobaczę jeszcze, jaki jest stan potoku w wąwozie. Przed snem zobaczymy się jeszcze, droga moja Tereso, a jutro zaświta nam nowy dzień.

Pocałował ją w czoło i wyszedł drzwiami ku łące.

Dopiero w dobrą chwilę potem cudzoziemiec odważył się wyjść z ukrycia. Teresa za-

drżała na jego widok, zapomniała bowiem zupełnie o jego obecności.

— Wszystkoś pan słyszał? — powiedziała z powagą. — Nie będę o nic pytała. Tomaso nie chciał, bym była świadkiem rozmowy, to mi wystarcza. Czyż jest taki drugi brat na świecie? Losu mojego może mi każdy pozazdrościć! O mój Tomasso!

Skinął głową i podał jej rękę.

— Dobranoc, Tereso! — rzekł. — Nie potrzebuję chyba prosić, byś nie wspomniała bratu, że słyszałem jego rozmowę z Łucją. Byłoby mu przykro, że obcy człowiek dowiedział się tego, co zataił przed własną siostrą.

— Nie dowie się nigdy! — przyrzekła uroczyście. — Czyż mogłabym zasmucać takiego jak on brata? Wszakże dałabym zań życie!

Musiał się odwrócić, by nie zdradzić, jak bolesne było mu to bezgraniczne oddanie i ufność do człowieka, przez którego straciła najdroższą sobie istotę. Chciał jej wyrazić współczucie, ale zamilkł, albowiem domagała się powinszowania szczęsnego losu. Ujrzał na jej pal-

cu pierścionek, a na ścianie portret zmarłego i pomyślał: „Tomasso musi patrzeć na to codziennie, żyć i cierpieć niesłychanie, wiedząc, że siostra go kocha”.

— Tereso! — rzekł. — Niech Bóg darzy cię pokojem, któryś wywalczyła. Bądź zdrowa! Unoszę twój portret, inny niż sądziłem, ale nierównie trwalszy.

Niewiele rozmawiali w drodze powrotnej, którą odbył znowu na ośle. Cudzoziemiec znalazł się wreszcie na dole, a gdy dziewczyna odeszła, stał jeszcze długo, chłodząc pałające czoło w rzeźwym oparze potoku. Noc zstąpiła, ale nie mógł się zmusić do powrotu. Krocząc spadzistymi perciami³⁸ skalnymi, ujrzał na wiszarze³⁹, pionowo sterczącym nad morzem, męską postać o rozwianych włosach. Samotny człowiek patrzył w dal w kierunku Carrotty, a po morzu płynęła w stronę Neapolu mała barka o wydętych wiatrem żaglach. Cudzoziemcowi wydało się, że poznaje owego samotnika i że

³⁸*perc* — stroma ścieżka górską. [przypis edytorski]

³⁹*wiszar* (daw.) — skała, urwisko. [przypis edytorski]

wie, kto siedzi w łódce, zawrócił z miejsca i udał się tam, gdzie mieszkają ludzie szczęśliwsi. Objawiła mu się Muza, której przez cały dzień wyglądał daremnie, ale oblicze jej było surowe, tragiczne i, patrząc na nie, długo nie mógł zasnąć.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.

Fundacja Nowoczesna Polska zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/heyse-samotni/>

Tekst opracowany na podstawie: Paul Heyse, Wesele na Capri. Nowele włoskie, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1959.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>).

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopec-Gryz, Elżbieta Sekuła, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

Okładka na podstawie: Włoszka z Procidy koło Neapolu, Tytus Maleszewski (1827-1898), domena publiczna

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przeznacz 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.